

Powrót do domu

O Saettedamen w Danii, pierwszym co-housingu na świecie, założonym w 1972 roku, opowiadają:

Arne, 83 - współzałożyciel i rezydent

Melanie, 42 - rezydentka

POCZĄTKI

Arne: Chcieliśmy, żeby nasze dzieci miały setkę rodziców. Chcieliśmy otwartej przestrzeni, bez płotów. I żeby pośrodku stał wspólny budynek. To był punkt wyjścia.

Melanie: Ta setka rodziców to popularne hasło w latach 60. Dziś mówimy raczej o setce cioc i wujków.

Arne: Czy czuliśmy, że zaczynamy małą rewolucję? Nikt tak chyba nie myślał. Ale wiedzieliśmy, że robimy coś nietypowego. Większość ludzi w tamtych czasach marzyła, żeby ich dom był ich twierdzą. My chcieliśmy żyć wspólnie. To wydawało się praktyczne, bo odciążało kobiety.

Melanie: W modelu nuklearnym kobiety miały na głowie nie tylko dom, ale też pracę. To się nie sprawdzało. Kobiety chciały pracować, a po pracy spędzać czas na zabawie z dziećmi, zamiast na obsłudze innych. Dlatego w Saettedamen wspólnota miała dzielić się codziennymi obowiązkami – gotowaniem, sprzątaniami i opieką nad dziećmi.

Arne: Założyliśmy grupę i zaczęliśmy szukać ziemi. Nie znaleźliśmy niczego sensownego blisko Kopenhagi, więc stanęło na wsi Hillerød, 35 km dalej. To ostatnia stacja na jednej z linii kolejowych, które odchodzą od stolicy. Większość z nas codziennie dojeżdżała tam do pracy.

Melanie: Wspólnota została nazwana na cześć jeziora, z którym graniczymy - Saettedamen. Dookoła są lasy, osiedle stoi na zboczu. Mamy piękny widok z okien.

Arne: Mieliśmy wiele problemów związanych z tym, że byliśmy pierwsi. Urzędy czy banki nie uznawały, że jakieś miejsce może mieć kilkudziesięciu właścicieli. Brakowało procedur. Trudno było np. dostać pożyczkę na tyle osób. Jeden z banków przez pomyłkę dał nam do podpisania kontrakt, z którego wynikało, że każdy z nas, indywidualnie, miałby spłacić te 40 milionów koron (wówczas ok. czterech milionów dolarów), które chcieliśmy pożyczyć jako wspólnota.

ARCHITEKTURA

Arne: Rozpisaliśmy konkurs na projekt naszych budynków. Wygrał go Jan Gudmand-Høyer ze swoim zespołem. Mieli duże doświadczenie, byliśmy w dobrych rękach,

Ada Petriczko: Gudmand-Høyer był wizjonerem i prekursorem co-housingu. W 1968 roku opublikował esej pt. „Brakujące ogniwo między utopią a staroświeckim domem jednorodzinny”. Zastanawiał się, jak projektować dla zachodniego, postindustrialnego społeczeństwa, w którym kobiety pracują poza domem, a ludzie mają mniej dzieci i żyją coraz dłużej. Chciał, żeby architektura jednocześnie wspierała wartości rodzinne i równość płci, prywatność i wspólnotowość.

Arne: Od początku procesu projektowego do przeprowadzki minęły dwa lata. Spotykaliśmy się z architektami wielokrotnie. Z czasem ich rysunki stawały się coraz bardziej ogólne, zawierały coraz mniej elementów, które mogłyby być przedmiotem sporu. Aby udało się coś takiego jak co-housing, wiele osób musi pójść tą samą drogą. Pamiętam, że podczas ostatniego spotkania z Janem, nikt z nas się nie odezwał. Czuliśmy, że jeśli będziemy próbowali wprowadzić jeszcze jedną zmianę, to wszystko się zawali.

Melanie: Na początku wszystkie 27 domów miały identyczny rozkład i metraż - 140 metrów. Dziś tylko dwa zachowały swoją pierwotną formę, w tym dom Arne. Inne zostały podzielone na dwa, jeszcze inne rozbudowane. Jest ich 36.

Arne: Saettedamen jest znane na całym świecie. Wiele osób nas odwiedza - niektórzy z ciekawości, inni, bo chcą założyć swoją wspólnotę. Mamy dla nich kilka rad. Po pierwsze, budujcie tak, żeby łatwo było się przebudować. Po drugie, pamiętajcie o dwóch łazienkach. Chodzi o rozwody. Ludzie nie chcą tego słuchać, bo nie planują się rozstawać, ale z naszego doświadczenia to bardzo ważne. Po rozwodzie jeden z partnerów może zostać i wynająć kawałek domu. Można też podzielić dom na dwa mniejsze mieszkania i wynająć singlom czy starszej parze.

Melanie: Saettedamen składa się z betonowych szeregowców, każdy po pięć domów, w których są nośne ściany działowe. Także pole do manewru jest spore.

Arne: Kolejna sprawa to parking na obrzeżach. W latach 80., kiedy zaczęło przybywać samochodów, pojawił się pomysł, żeby zbudować parking w centrum Saettedamen. Całe szczęście, że kobiety zaprotestowały. Powiedziały, że w sercu co-housingu ma być plac zabaw, nie parking.

Melanie: Dlatego dziś mamy tyle taczek. Używamy ich do transportu zakupów z samochodów do domu, bo to spory kawałek do przejścia.

Co jeszcze? Ważne, żeby przestrzeń z jednej strony dawała prywatność, z drugiej umożliwiała spotkania. U nas np. każdy ma przedni i tylny ogródek. Kiedy siadasz w przednim, to jest

zaproszenie do bycia z ludźmi. Tylne są prywatne i nikt cię tam nie zaczepi. Poza tym nasze domy są tak zaprojektowane, że w środku czujemy się odseparowani od siebie. Ja np. chodzę nago po domu i wiem, że teoretycznie ktoś mógłby mnie zobaczyć, ale musiałby się bardzo nawyginać. Inaczej niż w wielu co-housingach, gdzie ludzie zagląдают sobie do okien.

MOTYWACJA

Arne: Dla mnie Saettedamen to był powrót do domu. Pochodzę z małej wioski w Jutlandii, więc od dziecka byłem przyzwyczajony do tego, że wszyscy się znają. Kiedy przyjechałem do Kopenhagi na studia, przeżyłem szok. Jeśli tam powiesz „cześć” do obcego, to on prawdopodobnie podskoczy.

Melanie: Ja jestem z Kopenhagi i zawsze starałam się to przełamywać. Witałam się ze wszystkimi sąsiadami. Co roku, podczas spotkania osiedlowego, zachęcałam ich, żeby powiedzieli coś o sobie. Kiedy znasz swoich sąsiadów, łatwiej jest ich zaakceptować. Wiesz, że noworodek, który płacze za ścianą, prawdopodobnie ząbkuje. A student gra głośno muzykę, bo skończył właśnie semestr na uniwerku. Na naszym małym osiedlu usunęliśmy płoty, żeby dzieci biegały swobodnie po ogrodzie. Mieliśmy wspólną bibliotekę, pralnię, wymienialiśmy się sprzętami. Czyli w pewnym sensie próbowałam zrobić co-housing, zanim się do niego wprowadziłam.

Nie wszyscy sąsiedzi na tamtym osiedlu byli przekonani do wspólnotowości, więc dwa lata temu razem z mężem i dwójką dzieci przeprowadziliśmy się do Saettedamen. Najpierw byliśmy na kilku listach oczekujących. Nawet w Danii bardzo trudno jest dostać miejsce w co-housingu.

ORGANIZACJA

Arne: Nasza wspólnota liczy dziś 72 osoby. Jest tyle rzeczy, które możemy razem robić.

Melanie: Muzyka folkowa w poniedziałki, jazz we wtorki, joga i bilard w środy, dyskusje w piątki. Raz w miesiącu teatr. Mamy nawet grupę, której członkowie rozmawiają o swoich snach. Większość grup spotyka się we wspólnym budynku.

Arne: Kiedy się wprowadziliśmy, zorganizowaliśmy sobie tam przedszkole bo nie było żadnego w okolicy. Na początku mieliśmy też jeden wspólny ogród owocowo-warzywny, ale okazało się, że więcej jest chętnych do zbierania niż sadzenia.

Melanie: Raz w miesiącu odbywa się spotkanie wspólnoty, która jest naszym organem decyzyjnym. Wszyscy są zaproszeni, a każda osoba powyżej 7. roku życia może zabrać głos. Dzieci często zgłaszają sugestie, np. że potrzebują zabawek czy nowej rakiety do tenisa. Potem

głosujemy, czy chcemy wydać na ten cel pieniądze. Wygrywa większość. Musi być kworum, ale nigdy nie ma z tym problemu, ludzie chętnie przychodzą.

Arne: Dzielimy się czasem na mniejsze grupy, żeby przegadać różne sprawy. Dzieci osobno z rodzicami, małżeństwa rozdzielone.

Melanie: Nie wszystko jest na piśmie. Np. mamy tylko trzy pralki i jedną suszarkę, ale nikt nie prowadzi grafiku. Natomiast jeśli jest kolejka, to możesz zostawić swoje brudy z karteczką, na której wpisujesz tryb i temperaturę prania. Kiedy ktoś rozładuje swoje pranie, to potem wstawia twoje.

Arne: Spędzamy razem święta. Jemy też wspólne posiłki, cztery razy w tygodniu. Trzeba zadeklarować na kilka miesięcy wprzód, jak często chce się przychodzić.

Melanie: Kiedy się wprowadzałam, część mojej rodziny bała się, że dołączam do komuny. Saettedamen ma 48 lat, a wciąż wiele osób myśli, że jesteśmy hipisami. Chyba element tego to kwestia nagości. Dla Duńczyków jest naturalna, zwłaszcza, że mamy tu wspólną saunę i gorący basen. Kiedyś dzieciaki biegały tu nago, kobiety chodziły topless. Dziś jest tyle telefonów komórkowych dookoła, że ludzie się zakrywają.

STARZENIE SIĘ

Arne: Kiedy zakładaliśmy wspólnotę, wszyscy dorośli mieli po 30-40 lat. Połowa z nas dalej tu mieszka, więc nic dziwnego, że 48 lat później jesteśmy starzy. Nie chciałbym jednak, żeby Saettedamen stało się senioralnym co-housingiem. To nie dla mnie. Zawsze jestem szczęśliwy, kiedy wprowadzają się do nas dzieci.

Melanie: Najstarsza osoba ma 86 lat. Ja mam 44 i uchodzę za młodziaka. Przyznam, że na początku trochę się tym martwiłam. Potem pomyślałam: skoro ci ludzie mieszkają tu pół wieku, to dobrze świadczy o Saettedamen. Zresztą większość z nich jest w świetnej formie - zdrowi, zadbani. Wpędzają nas w kompleksy. Od rana krzątają się, przycinają trawnik, robią drobne naprawy, spotykają się.

Oczywiście nie trzeba być zdrowym i aktywnym, żeby tu żyć. Mieliśmy sąsiada z demencją, który mieszkał z nami prawie do śmierci. Opiekowaliśmy się nim - gotowaliśmy mu, sprzątaliśmy. Jego córka wpadała raz w tygodni, my zrobiliśmy grafik, żeby wszyscy nie odwiedzali go jednocześnie. Pod koniec codziennie przychodziła pielęgniarka. Teraz inny sąsiad choruje na demencję. Żona co 2-3 dni zawozi go do centrum opieki dziennej, żeby mogła odpocząć, ale poza tym on jest częścią społeczności. Rozmawiamy, jemy razem. Dzieci się z nim bawią. Z kolei jedna z sąsiadek,

która mieszka tu od początku, jest niewidoma. Uczymy dzieciaki, żeby nie przestawiały rzeczy w przestrzeniach wspólnych, bo ona musi wiedzieć, jak się poruszać. Za to lubię międzypokoleniowe wspólnoty. Dla mnie to ważne, że moje dzieci znają kogoś, kto jest starszy czy chory, że umieją z nimi być.

WSPÓLNOTA

Arne: Czemu właśnie w Danii narodził się co-housing? Może dlatego, że administracja lokalna od początku nas wspierała? Urzędnicy z gmin czy magistratów nie mieli doświadczenia z takimi wspólnotami, ale pomagali nam, bo uważali, że warto je rozwijać.

Melanie: Dania to progresywny kraj. Jako jedni z pierwszych zalegalizowaliśmy małżeństwa jedнопłciowe, in vitro dla singielek, aborcję. Poza tym jesteśmy po prostu do bólu praktyczni. W co-housingu ciągniemy się nawzajem do góry i myślę, że to najbardziej przemawia do Duńczyków. Dajesz jedno jabłko, a dostajesz 10.

Ada Petriczko